

# Charles Chaplin: Moja cudowna podróż

Stulecie urodzin Charlesa Chaplina zaszygnalizowaliśmy już „Kartką z kalendarza” prof. Jerzego Toeplitza (nr 16). Warto także przypomnieć o zupełnie dziś już nie znaney słynnego artysty, którą wydał w roku 1922: „Moja cudowna podróż” (My Wonderful Visit). Jest to relacja z triumfalnego tournée po Europie, tuż po premierze „Bzdurca”. Fragment opisuja-cy wizytę w londyńskiej dzielnicy nędzy, gdzie spędził dzieciństwo, przytaczamy w przekładzie Inny Krzywickiej wg polskiego wydania z 1929 roku.

## ULICE MEGO DZIECIŃSTWA

Wsiadam do auta i wkrótce mijamy Christ Church. Oto Baker Hall, gdzie za pensja pokazywano łalamie magiczna, tego przodka kina. Otrzymywało się filiżankę kawy, ciastko i oglądało „Ukrzyżowanie Chrystusa”.

Komisariat. Miejsce postrachu dzieci. Kennington Board jest miłsze. Jego za-niebdanie nadaje mi szczególny urok. Jedziemy koło Chester Street, gdzie zazwyczaj spałem na ławce. Nic się nie zmieniło, tylko trochę więcej zaniebdania, zniszczenia, działania czasu. Ten sam stary cebrzyk przed stajniami, gdzie się zwykle myłem. Ten sam stary cebrzyk, tylko bardziej rozeschnięty.

Znow zatrzymuje auto. „Poczekaj pan chwilę”. Nie wiem dlaczego, mam o-chootę się przejść. W tym otoczeniu auto-mobil jest wprost niewłaściwy. Idę wzdłuż Chester Street. Bawią się tam

dzieci, ładne dzieci. Widzę siebie dawniejszego wśród takiej gromadki. Czy są między nimi takie, które kiedyś po-wrócą tu i patrzeć będą na inne dzieci z zadróżnością?

— Czemu mnie ściska w gardle? Patrz na mnie, kiedy przechodzi. Otwarcie, bez skrepowania patrz na cudzoziemca z swymi pięknymi dziećminymi oczyma. Uśmiechają się do mnie. Odpowiadam im uśmiechem. Ach, czy nie mógł-bym czasów dla nich zrobić? Jaka przyszłość czeka tych Bożych mal-ców?

Przechodzi kobieta z gaskiorem piwa w rękę. Nosi białą spódnicę, która z tyłu wiecej się po ziemi. Depcze po sukni. Mam ochotę wybuchnąć śmiechem z radości, że znow jestem w tym samym starciu Kensingtonie z czasów mojej młodości. Czuję się szczęśliwy.

A oto fryzjer, gdzie służyłem za

chłopca do mydlenia podbródków. A może żyje jeszcze ten sam właściciel? Zaglądam. Nie, inny. Wielu chłopców bawi się przed drzwiami. Nie narysują-cy się, dają im parę groszy. Tu zwraca uwagę. Mogą mnie poznać.

Wskakuję do taksówki i jadę dalej. Przed Lambeth Walk wychodzę i mieszczam się z tłumem. Ludzie są zajęci swoimi sprawami. Jestem jedną łat-szą nutą w tym obrazie, który skomponowała sama natura. Moje ubranie rzuca się w oczy, jakkolwiek staram się przycisnąć niezauważony. Nikt tak jak ja ubrany nie spaceruje po Lambeth Walk.

Jasne, że zwracam uwagę. Przeszta-niam twarz chustką. Niektórzy spoglądają na mnie i potem patrzają już upo-rczywie. Kto to może być? Jeszcze chwila i sprawa się wyjaśni. Zaczepia mnie młoda, chuda kobieta o wąskiej piersi. Ale plomier, który गरे w jej oczach, okupuje brak fizyczne.

— Charlie, poznajesz mnie?  
— Naturalnie, że ja poznaję. Jest wzru-szona aż do utraty tchu. Widzę prawie jak bije jej serce w wąskiej piersi, o krótkim oddachu. Jest woskowo biała, a 28-letnia kobieta. Trzyma na rękę małą dziewczynkę.

Była niegdyś służącą w pensjonacie, gdzie mieszkałem. Wydalono ją nie-godnie, przypominam sobie. Był w tym jakiś dramat. Ale podtrzymała ją dżika dumna. Wszystkie się sprysnęło przeciwko niej, ale ona nie uznała się za zwyciężoną. Takie jak ona zastępują na lepszy los.

Kryjemy wzruszenie i zamierzamy zwykłe słowa powitania.

— Jak się panu powodzi, panie Char-lie?

— Bardzo dobrze — i wskazując na dziewczynkę, pytam: — To córeczka?

Ona odpowiada: — Tak.  
To wszystko, ale nie trzeba nam słów. Mam wrażenie, że teraz znam ją lepiej niż wtedy, kiedy widywałem ją co-dziennie. Czuję, że ona zastępuje na bliższe poznanie.

Zbiiera się już grupa ludzi koło nas. To musieli nastąpić. Poznano mnie i już nie mogę się wyminąć. Daję kobiecie trochę pieniędzy, aby kupiła coś dziecku i idę przedkro swoją drogą. Ona rozumie i uśmiecha się. Tum postępuje za mną. Poznano mnie na Lambeth Walk.

— Ale jacy to poczciwi ludzie! Ja, a oni za mną w przysłowitej odległości. Ledwo słyszę skrzyknięcie ich bułtom, mimo że dotrzymuję im kroku. Przypo-minam sobie czarodziejskiego grajka z basni. Tum nieśmiały, wzruszony, nie śmie wymówić mojego nazwiska tylko powtarza: „To on. To on. Gromada wciąż się zwiększa. Zaczynam się nie-pokoić. Wcześniej czy później zbliża się do mnie, a ja jestem sam i bezbranny. Co za szaleństwo chodzić samemu i do tego po Lambeth Walk.

Wreszcie dostrzegam policjanta. Szukam u niego opieki.

— Jestem Charlie Chaplin — mówię. — Poznano mnie. Czy chcesz mi pan oka-zać łe usługę i odprowadzić do taksów-ki?

— Nie trzeba, panie Charlie. Ci ludzie nie zrobią panu krzywdy. To są najlepší ludzie pod słońcem. Jestem wśród nich od piętnastu lat.

Jego spokojny ton sprawia, że czuję się śmieśny.

Nie chcieli mnie zaczepiać, póki by-tem sam, ale teraz, kiedy jestem pod opieką, rozlegają się głosy: „Hallo Chaplin!”, „Niech cię Bóg błogosławi, Charlie!”, „Powodzenia, chłopcze!”. Każdy rzuciwszy pozdrowienie, cofa się zmieszany do szeregu, aby dać moż-ność innym powitania mnie. Wszyscy rzucają słowo: stary, kobiety, męz-czyźni, dzieci. Szerzeć ich powitania wyrzuca mnie bardziej, niż potrafił wy-razić.

Zbliżamy się do rogu ulicy: wchodzi-my na Kennington Board. Tum wciąż idzie za mną w jednakiej odległości, jak bym był jego wodzem. Nikt jednak nie śmie się zbliżyć. Otagują mnie dzieci i oglądają z ciekawością. Stoją i czekam, trochę zmieszany. Nikt mnie o nic nie pyta. Wystarczy im, że mnie widzą. U-porczywość ich kontemplacji sprawia na mnie silne wrażenie. Czuję się taką marnością, niemal oszustem.

Jestem przedmiotem ich kultu, ale nie o mnie tu chodzi w gruncie rzeczy. Boże, gdybym mógł coś dla nich wszystkich zrobić! Ale jest ich tak dużo! Ile dobrych poczyniłaż zamiera wobec tego słowa „za dużo”. Wsiadam do auta.

— „Do widzenia, Charlie!”, „Niech cię Bóg prowadzi!”, Ruszamy.

Tu miałem pierwsze randez-vous z Hetty. Jaki byłem szczywny wtedy w obcisłej marynarce, w kapeluszu, z la-seczką, kiedy czekałem cztery godziny, zaglądnąłem we wszystkie przecznie, czy z nich nie wyjdzie Hetty i nie uśmiechnie się do mnie.

Zatrzymuje auto, szofer patrzy na mnie jak na wariata. Mało mnie to ob-chodzi. Widzę w myśli dziewiętnastolet-niego chłopca, z goździkiem w buto-nierce, z bijącym sercem, który oczeku-je tej chwili dnia, kiedy wraz ze swym szczęściem będzie szedł ulicą. Jeszcze teraz ta ulica ma dla mnie urok, wydaje mi się, że zapowiada mi przyjemny spa-cer, że tramwaj, który akurat nadjeżdża, wiezie Hetty, który wysiedzie i uśmiechnie się do mnie.

Tramwaj staje. Wsiada z niego parę osób, jakaś stara kobieta, dzieci, ale Hetty nie ma.

— Wracam. Wracam do innego świa-ta. Wracam do Ritza, żeby się przebrać przed obiadem.

Tramp w poszukiwaniu przeszłości

